

Do historii przeszło jego przywitanie z jednym z dyrektorów w Hucie Stalowa Wola. - Karaś - przedstawił się Marian. - Szczupak - usłyszał. - Mam nadzieję, że pan dyrektor dzisiaj nie żeruje - dodał przytomnie rozbawiony Karaś

### Karaś znowu na wodach satyry

Rozmowa z MARIANEM T. KARASIEM, dziennikarzem i satyrykiem

- Pamiętam Ciebie z początku lat 90. ubiegłego wieku, gdy zaczynałem pracę w „Sztafecie”, a ty podsyłałeś do redakcji swoje fraszki i aforyzmy. Potem Marian Karaś gdzieś odpłynął i oto wypłynął teraz jako 70-letni satyryk w... Domu Pomocy Społecznej w Tarnobrzegu. Co się z Tobą działo przez ten czas?

- Jak upadła komuna i powstała „Gazeta Wyborcza”, to w 1990 r. zacząłem pracę w jej kieleckim dodatku, w „Gazecie Lokalnej”. Sporo wtedy pisałem, czasy dla dziennikarstwa były bardzo ciekawe.

- No tak, pamiętam z tego czasu Twój tekst pt. „Poćwiartować smoka!”, o pomysłach rozparcelowania Zakładów Mięsnych w Nisku. Tytuł, nie powiem...

- No to masz pamięć. A swoją drogą, tak poćwiartowali tego smoka, że biedak zdechł. W „Gazecie” obiecano mi pół etatu, ale przez rok pracowałem tylko za wierszówkę, więc oszukany odszedłem do „Nowin”. To wtedy też, gdy Dyziu Garbacz objął „Sztafetę”, zacząłem z nią współpracować. W „Nowinach” spędziłem dwa lata, a ponieważ zdrowie zaczęło szwankować, to w 1993 r. przeszedłem na rentę, a gdy skończyłem 65 lat, zostałem emerytem pełną gębą i z niezbyt pełną kieszenią. Dopiero ostatnio finansowo mi się poprawiło. Mam tylko nadzieję, że to już nie jest ta ostatnia poprawa przed ostatnim namaszczeniem (*śmiech*).

- Czyli jak najbardziej poważnie mogę Cię tytułować emerytowanym satyrem Domu Pomocy Społecznej w Tarnobrzegu?

- Jak najpoważniej. Skoro jest w Polsce jeden wielki, choć niewielki zarazem polityk, nazywający się emerytowanym zbawcą narodu, to ja jestem emerytowanym satyrem DPS-u. Po wielorakich przejściach i doznaniach.

- **Skąd się jednak tu wziąłeś? To chyba nie jest jakiś żart?**

- No skąd. 24 czerwca 2019 roku, po hucznych obchodach imienin Jana dopadł mnie lewostronny towarzysz wylew. Byłem jak warzywo, ale powoli wracam do formy, jeśli chodzi o kończyny, bo mowa i mózg działają całkiem nieźle. Najpierw był wózek, teraz balkonik. Planuję stopniową redukcję pojazdów wspierających i myślę o kuli, a potem, mam nadzieję, że będą chodził sam, co nie znaczy, że w pojedynkę. Albowiem nie straciłem pociągu i zainteresowania do płci przeciwnej. Przeciwnie!

- **Twój pierwszy zawód, oczywiście nie ten miłosny, to... archeolog. Możesz to wyjaśnić?**

- Kiedy w 1968 r. skończyłem LO w Stalowej Woli, zamarzyły mi się wielkie podróże. No wiesz, z Kotowej Woli wyrwać się w świat... A sądziłem, że zawód archeologa to ułatwi. To był czas kolejnych polskich odkryć prof. Kazimierza Michałowskiego w Egipcie. Dostałem się więc na archeologię na Uniwersytecie Jagiellońskim, choć konkurencja była ostra (15 osób na miejsce). Skończyłem te studia, ale wielkich podróży nie posmakowałem.

- **To gdzie na studiach dotarłeś najdalej?**

- Do Jugosławii, z kumplem ze studiów, na jednym (!) motorze, poczciwej SHL-ce, w latach 70. A pierwszą pracę po tej archeologii złapałem w 1976 r. w Muzeum Okręgowym w Sandomierzu jako asystent muzealny. Zarobki były tu jednak strasznie marne. Pracowałem wtedy za 23 dolary miesięcznie, bo dostawałem 2 tysiące trzysta złotych, a dolar chodził po stówce. Po roku przeniosłem się więc do gazety, do „Siarki”, gdzie na wejście dostałem 1000 złotych więcej. No i potem zrobiłem, też na UJ-ocie, podyplomowe studia dziennikarskie.

**- Kiedy poczułeś w sobie zew satyryka?**

- To było zaraz po stanie wojennym, gdy z konieczności przestałem być dziennikarzem. Czasy był parszywe, więc trzeba to było jakoś odreagować.

**- Z tego, co wiem, Marian Karaś przepłynął wcześniej przez kilka redakcji.**

- Jak już wspomniałem, zaczynałem w 1977 r. w tarnobrzesckiej „Siarce”, skąd w styczniu 1980 r. przeszedłem do Stalowej Woli, do „Socjalistycznego Tempa”. Pewnie po to, żeby siarką i żelazem wypalać socjalizm (śmiech). A w lutym 1981 r. odszedłem do „Tygodnika Nadwiślańskiego”. Tamten rok w „Socjalistycznym Tempie” wspominam najlepiej z wszystkich redakcji, w jakich pracowałem. Wtedy też dobrze poznałem się z Dyziem Garbaczem.

W „Tygodniku” spędziłem 9 miesięcy, a w listopadzie 1981 r. przeszedłem do Zarządu Regionu „Solidarności” Ziemia Sandomierska w Stalowej Woli, do pracy w związkowym biuletynie. Ale nie popracowałem w nim długo, no bo wiadomo, 13 grudnia, stan wojenny, zawieszono gazety. Ale potem miałem nawet propozycję pracy w zawodzie.

**- Któż był tak wspaniałomyślny dla wyrotowca Karasia?**

- „Wspaniałomyślna” Służba Bezpieczeństwa proponowała mi współpracę, jako warunek mojego powrotu do „Tygodnika Nadwiślańskiego”. Jasne, że odmówiłem, więc wyładowałem jako pomocnik piekarza w piekarni PSS „Społem” w Tarnobrzegu. Esbecja mi nie odpuszczała i ciągle za mną chodziła. Po kilku miesiącach zaczepiłem się w tarnobrzesckim PKS-ie, ale nie zdałem egzaminu na rewizora.

W połowie lat 80. współpracowałem z „Siarką”, gdzie drukowałem fraszki pod pseudonimem Marcin Kotwica. Ale kiedy redakcja puściła ze mną wywiad, pod tytułem „Kogo zachwyca Marcin Kotwica”, to opatrzyła go moim zdjęciem i zostałem „zdemaskowany”. Potem udało mi się powrócić do pracy w muzealnictwie, w Sandomierzu zostałem nawet kierownikiem nowo

utworzonego oddziału Zamek. Przyjmowałem go od wykonawcy, na protokołach przejęcia tej budowli są moje podpisy. Pracowałem tam raptem trzy miesiące.

**- Niech zgadnę. Znowu SB?**

- Trafiłeś. Jako kierownik administracyjny pracował tam były esbek. Emeryt, ale bardzo „radioaktywny”. Dyrektora całego muzeum postawił w kąt, mnie też usiłował, namawiał do zmiany frontu. Ponieważ dalej odmawiałem współpracy, to zorganizowano prowokację i zatrzymano mnie pod absurdalnym zarzutem, że włamałem się do mieszkania kuzynki w Tarnobrzegu i ją okradłem. A ja byłem u niej przed tym włamaniem i to wszystko. Przesiedziałem 48 godzin na dołku, skonfiskowali mi całą podziemną bibułę, a jak mnie wypuszczali, to powiedziałem im, że na przyszłość powinni się postarać o jakiś lepszy pretekst. Zostałem więc zwolniony z muzeum i trafiłem do cegielni koło Dwikóz. Jej właściciel, Andrzej Piskorski, bardzo mi pomógł, dał kasę i lokum. I jakoś tam przetrwałem do upadku komuny. Potem próbowałem też sił jako... pilot wycieczek. Ależ to była jazda! Dwa tygodnie w autobusie. Najdalej na Sycylię.

**- Ile lat miałeś rozbrat z satyrą?**

- „Igraszki satyra”, czyli zbiór fraszek i aforyzmów, wydało mi w 1995 r. Staszowskie Towarzystwo Kulturalne. Tu się jeszcze pochwalę, że fraszki drukowałem też w „Szpilkach” i „Karuzeli”, a w „Przekroju” - aforyzmy. Potem jeszcze trochę pisałem do szuflady, choć - jak to ująłem w jednym z aforyzmów - taką twórczość nie tak łatwo... zaszufładkować. W końcu zarzuciłem pisanie. Myślę, że miałem kilkanaście, może nawet 20 lat przerwy w robieniu ludziom koło pióra.

**- A pierwsza napisana fraszka?**

- O, zupełnie niepolityczna z 1984 r. To ta, którą niedawno opublikowała „Sztafeta”. Nosi tytuł „Rozczarowanie”. *Wyraźnie mija ochota/ Gdy zdjąć spódnicę ze Szkota.*

**- Jaki jest przepis na udaną fraszkę?**

- Trafić i zaskoczyć puentą. A to trudna sztuka i czasem umysł cierpi. Sam mistrz Jan Sztudynger, we fraszce „Męczarnie fraszkopisarza” napisał przecież: *Na krzyżu rozpięty/ Umykającej puenty.*

- **Sam pisuję fraszki i znam ten ból. Ale próbować trzeba. W swoim wydanym przed laty tomiku napisałem wprost: *Sztudyngera podziwiam jak cholera/ Ale muszę również rzec/ Że na szczycie chciałbym Lec* (Jan Izydor Sztudynger i Stanisław Jerzy Lec - dwaj najwybitniejsi polscy fraszkopisarze - red.).**

- No to fajnie się składa, bo ja w swoich „Igraszkach satyra”, w cyklu zatytułowanym „Duperеле” napisałem tak: *Nieśmiało zalecam się do Leca/ Chętka też wzbiera na Sztudyngera.* Przeczytałem właśnie ten Twój tomik i zauważyłem, że niektóre fraszki mamy podobne, choć puenty bywają różne.

- **Masz swoją ulubioną fraszkę?**

- Podczas spotkania w DPS-ie zagadnęła mnie o to pani Krysia. Odpowiedziałem jej, że to tak, jakby zapytała przystojnego mężczyznę, czy porzekał na jednej kobiecie.

- **No to może czas na fraszki o DPS-ie?**

- Napisałem jedną, bardzo osobistą, nie powiem więc komu dedykowaną. „Miłość w DPS-ie”: *Nie połączyły nas usta/ Ani inna rozpusta.*

- **Chyba żartujesz! Przed naszą rozmową też napisałem fraszkę „Miłość w DPS-ie”: *Problem zgoła techniczny/ Czy mu się podniesie?***

- No pięknie. By utrzymać ten, za przeproszeniem poziom, bo przecież nie pion, to powiem, że we wspomnianych „Duperelach” mam fraszkę „Starcze dylematy”, z iście hamletowską rozterką: *Stanie czy nie stanie/ Oto jest pytanie.* Mam też późniejszą fraszkę na ten temat, z politycznym nawet podtekstem pt. „Na dziś”: *Nie martwi mnie PO ani PiS - martwi mnie zwis.* A już tak podsumowując tę męską niemoc, to napisałem fraszkę „Impotencja”: *Wieczny odpoczynek/ Od dziewczynek.*

- **No to sobie poużywałeś słowem. Zostawmy jednak fraszki i sferę damsko-męską, i weźmy się za aforyzmy. To trudniejsze sztuka?**

- Aforyzmy nie są rymowane i przez to wydają się poważniejsze, dotyczą spraw egzystencjalnych. Dobry aforyzm to taki, który zmusza do myślenia. A co jest trudniejsze? Nie wiem. Ja najpierw zacząłem pisać fraszki, potem aforyzmy. Dzisiaj na przykład (7 lutego - red.) wymyśliłem taki: *Jest wielu ludzi podobnych do człowieka*. W każdym razie, cały czas trzeba być przygotowanym na tworzenie. Kiedy pisałem, zawsze byłem w takiej gotowości i nawet gdy szedłem na piwo, to brałem notes i zapisywałem te swoje „myśli nieuczesane”. A swoją drogą, to ciekawe, że takie myśli może mieć też i łysy.

- **Czas na puentę naszej rozmowy. Masz coś pod ręką, a właściwie na języku?**

- Może taki limeryk, czyli fraszkę pogrubioną, „Chudy Literacie”, bo tak podpisałeś się pod dedykacją dla mnie w swoim tomiku. Limeryk ma tytuł „Satyrycy”: *Zamiast chodzić do fabryki/ Piszą jakieś limeryki/ Guzik z tego ich pisania/ Wyrokuje ciocia Mania/ Nie odkryją przecież Ameryki*.

To prawda, taki nasz los, satyryków. Wolę jednak być satyrykiem, bo choć ludzi łatwiej zmusić do płaczu niż do śmiechu, to satyrycy mają się nieźle, skoro ze śmiechu żyją.

- **A skoro wspomniałeś o tej mojej dedykacji, to ją przytoczę: W morzu humoru różne są prowodyry/ Na przykład Karaś - rekin satyry.**

- Bardzo dziękuję, ale aż takim drapieżnikiem nie jestem. A przypadkiem nie wiesz, jak się miewa dyrektor Szczupak?